

Miron
Białoszewski pamiętnik
z powstania
warszawskiego

MIEJSCA POBYTU I TRASY PRZEMIESZCZANIA SIĘ MIRONA BIAŁOSZEWSKIEGO
PODCZAS POWSTANIA WARSZAWSKIEGO



LEGENDA

CEMENTARZE CHRZEŚCIJAŃSKIE

CEMENTARZ ŻYDOWSKI

PARKI I OGRODY

ZABUDOWA

KOLEJ

TRASA ULICAMI

TRASA KANAŁAMI

DROGA WYJŚCIA Z WARSZAWY PO UPADKU POWSTANIA

GRANICA BYŁEGO GETTA

KOŚCIOŁY

WŁAZ DO KANAŁU

MIEJSCA SCHRONIENIA M.B.

1

Chłodna 40 – miejsce zamieszkania M.B. (1942–1944), M.B. wyszedł z domu 1 VIII, wrócił na moment 6 VIII

2

Chłodna 24 – mieszkanie Ireny P., koleżanki M.B. z tajnej polonistyki, 1 VIII–6/7 VIII

3

Rybaki 14/16 – piwnica domu matki Swena, 7 VIII–28 VIII

4

Miodowa 14 – pobyt w gruzach pałacu Chodkiewiczów, 26 VIII–1 IX

5

Chmielna 32 – piwnica domu ojca M.B. oraz Zochy, Stachy i Haliny, 1/2 IX–6 IX

6

Wilcza 21 i piwnice kamienicy na Wilczej 23 – pobyt do końca powstania, 7 IX–3 X

MIEJSCA ODWIEDZANE PRZEZ M.B. W CZASIE POWSTANIA

A

Ogrodowa 49 – dom ciotki Józ, 6 VIII

B

Białańska 16 – mieszkanie ciotki Limpci i babki Frani, 15 VIII

C

studnia na Podwale 5

D

wizyta w drukarni u wuja Stefana na Górskiego

E

róg Chmielnej i Zgoda, noc 5/6 IX

F

Nowogrodzka pomiędzy Bracką a Kruczą, noc 6/7 IX

G

Żurawia 6 – wizyta w domu rodzinnym Zdzisława Ś., szkolnego kolegi M.B.

H

młyn na Prostej za Żelazną – wyprawa po zboże

I

wizyta u Swena na Żurawiej

J

wizyta na Emilii Plater, na kwaterze powstańczej

Kup książkę

pamiętnik z powstania warszawskiego

Miron Białoszewski
pamiętnik z powstania warszawskiego

Państwowy Instytut Wydawniczy

LEKTURA SZKOLNA

Okladka i strony tytułowe
Justyna Niedzińska

Opracowanie map
Paweł Kwiatkowski

Przygotowanie edycji
Adam Poprawa

Opracowanie redakcyjne
Marianna Sokołowska

Korekta
Donata Lam
Małgorzata Denys

PIW serdecznie dziękuję Panu Henkowi Proeme
za udostępnienie brulionów i maszynopisu
Pamiętnika z powstania warszawskiego
oraz Programowi Drugiemu Polskiego Radia SA
za udostępnienie autorskiego nagrania, które po raz pierwszy
mogło zostać wykorzystane w wydaniu książkowym

www.piw.pl

© Copyright by the Estate of Miron Białoszewski, Warszawa 2014

Dystrybucja:
Dictum sp. z o.o.
ul. Kabaretowa 21, 01-942 Warszawa
tel. 22 663 98 13 e-mail: biuro@dictum.pl

PRINTED IN POLAND
Państwowy Instytut Wydawniczy Sp. z o.o., Warszawa 2016 r.
ul. Foksal 17, 00-372 Warszawa
e-mail: piw@piw.pl www.piw.pl
Wydanie pierwsze w tej edycji, dodruk
Skład i łamanie: Oficyna Poligraficzna „Polico-Art”, Warszawa

ISBN 978-83-64822-59-9

1 sierpnia we wtorek 1944 roku było niesłonecznie, mokro, nie było za bardzo ciepło. W południe chyba wyszedłem na Chłodną (moja ulica wtedy, numer 40) i pamiętam, że było dużo tramwajów, samochodów, ludzi i że zaraz po wyjściu na rogu Żelaznej uświadomiłem sobie datę — 1 sierpnia — i pomyślałem sobie chyba słowami:

„1 sierpnia — święto słoneczników”. — Tyle że to pamiętam odwrócony w Chłodną w stronę Kercelaka. A na jakim skojarzeniu słoneczniki? Bo że wtedy kwitną i nawet przekwitają, bo dojrzewają... I to, że byłem wtedy bardziej naiwny i sentymentalny, niewycwaniony, po czemu i czasy były, naiwne, pierwotne, nieco beztroskie, romantyczne, podziemne, wojenne... Więc — ale ten żółty kolor musiał w czymś być — światło tej niepogody z dobijaniem się (i jednak z przebitką) słońca na tramwajach czerwonych, jak to w Warszawie.

Będę szczery, przypominający sobie siebie tamtego w faktach, może za dokładny, ale za to tylko prawda będzie. Teraz mam czterdzieści pięć lat, po tych dwudziestu trzech latach, leżę na tapczanie cały, żywy, wolny, w dobrym stanie i humorze, jest październik, noc, 67 rok, Warszawa znów ma milion trzysta tysięcy mieszkańców. Miałem siedemnaście lat, kiedy raz się położyłem do łóżka i pierwszy raz w życiu usłyszałem artylerię. To był front. I to był chyba 2 wrzesień 1939. Miałem wtedy rację, że się bardzo przeraziłem. Pięć lat potem — tak dobrze znani Niemcy chodzili w mundurach po ulicach.

(Używam tu określenia „Niemcy”, i nie tylko tu, bo inaczej wypadnie sztucznie. Tak jak włosowców miało się wtedy często za Ukraińców. Wiedzieliśmy, że hitlerowcami byli nie tylko Niemcy. Nawet widzieliśmy. W 1942 roku po likwidacji małego getta pamiętam Łotyszów. Z karabinami. Cali na czarno. Stali wzdłuż Siennej. Gęsto. Na aryjskim chodniku. I całymi dniami i nocami wypatrywali w oknach żydowskiej strony Siennej. To były resztki szyb w futrynach, zatłkane piezrynami. Trupie puchy. Ulicą — tą jedną ulicą — szedł od Żelaznej do Sosnowej nie mur, ale druty kolczaste. Wzdłuż. Jezdnia, kocie łby — po tamtej stronie miały już wysokie badye i komosy — zdążyły zeschnąć się i zszarzeć na węgiel. A jednak ci aż przykucali. Tak mierzyli. I pamiętam, jak jeden co i raz strzelał. W te okna).

Więc tego 1 sierpnia o jakiejś drugiej po południu Mama powiedziała, żebym poszedł po chleb do kuzynki Teika na Staszica; widocznie brakło chleba, a one się o to umówiły. Poszedłem. I kiedy wracałem, pamiętam, że ludzi było bardzo dużo i było już zamieszanie. I mówili:

— Na Ogrodowej zabili dwóch Niemców.

Zdaje się, że szedłem nie tędy, co miałem iść, bo łapali zaraz ludzi, ale coś mi się zdaje, że szedłem właśnie Ogrodową. Moje zamieszanie na Woli mogło być miejscowe, bo zaraz spotkałem się ze Staszkiem P., kompozytorem, i Staszek śmiał się potem:

— A moja mama mówiła, że dziś taki spokojny dzień.

Staszek sam widział dużo tygrysów.

— Takie czołgi jak kamienice.

Więc krążyły. Ktoś widział, jak na Mazowiecką 11 wjechało tysiąc ludzi (naszych) na koniach. Było więc różnie. A nie było jeszcze piątej, czyli godziny „W”. Mieliśmy ze Staszkiem iść na Chłodną 24 do Ireny P., mojej koleżanki z tajnego uniwersytetu (nasza polonistka była na rogu Świętokrzyskiej i Jasnej, na drugim piętrze, siedziało się w szkolnych ławkach; to się nazywało, że to są kursy handlowe Tynelskiego). Więc mieli-

śmy iść do niej na piątą (na siódmą byłem umówiony z Haliną, która mieszkała z Zochą i z moim Ojcem Chmielna 32), a że było za wcześnie, chodziliśmy po Chłodnej od Żelaznej do Waliców i z powrotem. Kościelny wyłożył dywan na schodach wejściowych i wystawił zielone drzewa w kubłach na paradny ślub. Nagle widzimy, że kościelny sprząta to wszystko, zwią dywan, odnosi kubły z drzewami, ale szybko, i to nas zastanowiło. Wprawdzie wczoraj — czyli 31 lipca — przyszedł żegnać się z nami Roman Ż. Akurat było słyhać naraz sowiecki front, pioruny i jednocześnie samoloty z bombami na niemieckie dzielnice. Więc weszliśmy do Ireny. Było przed piątą. Rozmawiamy, nagle strzelanina. Potem tak jakby broń grubsza. Słyhać działa. I w ogóle różne rodzaje. Aż krzyk:

— Hurraaa...

— Powstanie — od razu powiedzieliśmy sobie, tak jak i wszyscy w Warszawie.

Dziwne. Bo tego słowa nie używało się przedtem w życiu. Tylko z historii, z książek. Już nudziło. A tu raptem... jest, i to takie z „hurraaa” i tłumem na łubudu. To „hurraaa” i łubudu to było zdobycie Sądów od Ogrodowej. Padał deszcz. Pilnowaliśmy, co tylko widać. Okna Ireny wychodziły na drugie podwórze z czerwonym murkiem na końcu, i za tym murkiem szło aż do Ogrodowej jeszcze jedno podwórze, z tartakiem, szopą, z kupą desek, z wózkami. Patrzymy, a tu ktoś w niemieckiej tygrysce, w furażerce, z opaską przeskakuje przez ten czerwony murek z tamtego podwórza na nasze. Skoczył na nasz śmietnik z klapą. Z kłapy na stołek. Ze stołka na asfalt.

— Pierwszy powstaniec! — krzyknęliśmy.

— A wiesz, Mironku, że ja bym mu się oddała — powiedziała do mnie Irena w zachwycie przez firankę.

Zaraz potem z Ogrodowej na tamto podwórze wpadli ludzie i zaczęli łapać wózki i deski na barykady.

Potem — pamiętam — po ugotowaniu klusek przez Staszka i zjedzeniu graliśmy w coś, przeglądaliśmy *Gargantuę* Rabelais’go (pierwszy mój z nim styk). I poszliśmy spać. Oczy-

wiecie nie było spokoju. Cały czas. Tyle że trochę przycichły te grubsze kalibry, tak potem znane. Więc Irena poszła spać w pokoju swoim. A my ze Staszkiem do łóżka jej mamy w pokoju mamy, która nie wróciła z miasta, rzecz jasna. Deszcz padał. Drobnym. Było chłodno. Słysząc było karabiny — te terkoty. Serie bliższe, dalsze. I kolorowe rakietki. Co i raz. Po niebie. Z tym chyba zasnęliśmy.

Pierwszy raz o bombardowaniu w życiu tak naprawdę dowiedziałem się w 1935 roku. Kiedy faszysty włoscy napadli na Abisynię. Siedziała u nas kulawa Mania ze słuchawkami na uszach, słuchała radia i nagle ogłosiła:

— Bombardują Addis-Abebę.

Wyobraziłem sobie dom na Wroniej, od ciotki Natki, nie wiem, dlaczego ten akurat, i piąte piętro, i że tam jesteśmy na podeście cztery i pół piętra. I że się z tymi piętrami zaczynamy walić. Potem zaraz pomyślałem, że to chyba niemożliwe. No ale w takim razie jak to wygląda?...

Co było 2 sierpnia 1944 roku? Na zachodzie szła od czerwca ofensywa aliantów przez Francję, Belgię, Holandię. I od Włoch. Front rosyjski stał na Wiśle. Warszawa weszła w drugi dzień powstania. Obudziły nas huki. Padał deszcz.

Zaczął się organizowanie. Blokowi. Dyżury. Kucie piwnic. Przekuwanie podziemnych przejść. Całymi nocami. Barykady. Najpierw ludzie myśleli, że ze wszystkiego, jak te z desek z tartaku i wózków na Ogrodowej. (Ogrodowa cała — bo wyjrzelśmy na nią — była w polskich flagach — dziwne święto!). Zebrania i narady na podwórkach. Ustalanie — kto, co. Chyba gazetka już. Powstaniowa. W ogóle powstańcy. Się pokazali. W poniemieckim — co popadło: hełmie, butach, z byle czym w rękę — dobrze, jak strzelało. Wyjrzelśmy na Chłodną. A prawda: ustalił się front. W całej Warszawie. Z miejsca. A raczej ileś frontów. Które ustaliła pierwsza noc. A dzień zaczął przesuwac. Co doniosły gazetki. Huki były. Wszystkie. Z dział. Bomby. Karabiny. Może front? Ten prawdziwy, niemiecko-rosyjski. Gdzieś od Modlina szedł na Warszawę (nasza

wielka nadzieja). Od Woli jeszcze nie szło nic strasznego. Ale Chłodna była w trudnej sytuacji. Była niby nasza. Chyba już z flagami. Ale róg Waliców i Chłodnej była jedna wacha. Róg Żelaznej i Chłodnej — druga wacha — ten dom pod filarami. Wacha to znaczyło cała kamienica niemiecka, a to znaczyło — strzelanie z piętra (z pięciu). Karabiny maszynowe. Granaty. Coraz strzelanie pojedyncze z dachu, zza komina, ktoś ranny, ktoś zabity. To strzelali ci ukryci.

— Gołębiarze — mówiło się. Wlatywało za nimi, szukało, i nic. Strzelali z naszych kamienic. Potem ich przyłapywali. Ale było ich dużo. Wciąż. Do końca. Podobno szli za nacierającymi czołgami i wskakiwali do bram. Walili pociski z dział niemieckich od Woli, od Dworca Towarowego, czyli z torów, z pociągu pancernego, od Ogrodu Saskiego. Samoloty nadlatywały i rzucały bomby. Co pewien czas. Często. Nieraz co pół godziny. I częściej. I czołgi. I od Hali Mirowskiej. I od Woli. Chciały zdobyć, czyli oczyścić trasę. Chłodną. Pierwsze barykady — prowizoryczne — drewniane — nie były nic warte. Czołgi szły po nich. Pociski od razu to zapalały. Albo bomby zapalające. Pamiętam, jak z kamienicy na drugim rogu Chłodnej i Żelaznej, tej naprzeciw wachy, wyrzucali z drugiego piętra stoły, krzesła, szafy na ulicę, a tu ludzie zaraz to łapali na poczekaniu na barykadę. I zaraz te czołgi po niej przechodziły.

Więc zaczęli ludzie wrywać płyty z chodników, bruki z ulicy. Były do tego narzędzia. Tramwajarze przyszykowali na powstanie ileś łomów żelaznych i kilofów. Rozdawali ludziom. I tym się rozbijało bruk, podważało płyty, rozwałało twardą ziemię. Ale te dwie wachy bardzo przeszkadzały. Wiem, że moja Mama nagle się pokazała pod 24-ym, u Ireny na podwórzu. Niespokojna o mnie. Przyleciała zza Żelaznej — z Chłodnej 40. Przyniosła coś jeść. Wołałem zostać tu u Ireny ze Staszkiem. Odprowadziłem Mamę na róg. Ten koło wachy. Rozstaliśmy się na razie w dwie strony. Wszystko chyłkiem — biegiem — pod osłoną barykad. Nad samym skrzyżowaniem druty tramwajowe jakoś się poobrywały, poplątały — od

obstrzału — ktoś zresztą na nich powiesił portret Hitlera, co Niemców złościło. I strzelali w to skrzyżowanie. Gołębiarze pykali.

Nie mogę dobrze rozróżnić, co było 2, a co 3 sierpnia (środa i czwartek). Obydwa dni pochmurne i z deszczkiem. Już z pożarami, z bombami. Obydwa dni ze zlatywaniem na dół.

— Do schronu! — czyli do zwykłych piwnic. Na narady na podwórko, na dyżury, na roboty przy kuciu, przy budowaniu barykad. Mieszkało się jeszcze na górze, na trzecim piętrze. Ale już siedziało się w przedpokoju, najwyżej w kuchni, w jak najśrodkowszych ścianach, bo waliły pociski. Spało się na zestawionych kanapach w przedpokoju. Raz zlecieliśmy z Ireną P. chyba bez butów, bo już nalot i bomby. Staszek akurat siedział w ubikacji. Już bomby. Jakoś w nas nic. Staszek schodzi po iluś minutach:

— Wiecie, że jak siedziałem na sedesie, to ten cały sedes chodził razem ze mną i z całym piętrem... Ale jak...

Jednak nie od razu się wyszło na Chłodną. Racja. Brama, tak jak i inne, była zabarykadowana. Postanowiliśmy wywiesić flagę. Wysadziło się ją przez żelazną kratę.

— Baczność! — i *Jeszcze Polska nie zginęła*.

Niemcy zaczęli walić. We flagę. W bramę. Komuś coś było w palec. Chyba temu porucznikowi, który wywieszał flagę. A może komendantowi OPL na terenie tego domu? Nie pamiętam. O którejś godzinie nagły straszny huk. Aż wszystko podskoczyło. Zlecieliśmy na dół.

— Niemcy wysadzili się z wachą na rogu Waliców! — krzyczeli ludzie.

— Poszło pięć kamienic!

Wylecieliśmy na Chłodną. Ulica była w chmurach. Rudych i burych. Od cegieł, dymu. Jak to się ustało, zobaczyliśmy straszną zmianę. Rudoszary pył siedział na wszystkim. Na drzewach. Na liściach. Gruby na centymetr chyba. I to zniszczenie. Jedna wacha ubyla. Ale jakim kosztem. Zresztą zaczęło się już zmieniać. Na niespokojnie. I na coraz gorzej.

I widokowo. Od placu Żelaznej Bramy, od placu Bankowego, od Elektorальной, Chłodną po naszej stronie pod murem lecieli i lecieli ludzie, kobiety, dzieci, wszyscy schyleni, szarzy, posypani czymś. Pamiętam, że zachodziło słońce. Palilo się. Ludzie lecieli i lecieli. Potokiem. Ze zbombardowanych domów. Uciekali na Wolę.

Na drugi dzień pod wieczór ze Staszkiem każą nam przenosić płyty z chodnika. Na drugą stronę ulicy. Staszek złapał płytę i przeniósł. Podziwiałem. Nagle pociski. Jeden trafia w drewnianą barykadę strażacką na Chłodnej, za kościołem. Cała w ogniu. Zaraz coś wpada w Hale Mirowskie. Palą się. Żywym płomieniem. Pomidorowe i tak. Słońce zachodzi. Pierwszy raz pogoda. Ludzie wzdłuż murów lecą po naszej stronie Chłodnej do Elektorальной i dalej. Tacy jak wczoraj. Ci sami. Uciekają z Woli.

— Ukraińcy idą od Woli i rzną. I palą na stosach!

Na piąty dzień sobota, 5 sierpień. Dużo długiego huku. Wyleciałem do bramy.

— Wacha zdobyta! — wleciałem po schodach na górę. Z tą radosną wieścią. Do Ireny i Staszka. Chłodna była wolna. Cała we flagach za chwilę. Za chwilę wyległy tłumy. Do robienia barykad. Wszyscy. Kobiety. Starsi. Pamiętam. Ekspedientki w białych fartuchach. I panią, starszą, która podawała mi szybko jedną ręką cegły, bo w drugiej trzymała torebkę. Ja podawałem cegły tej ekspedientce w białym fartuchu. I tak dalej.

— Potokiem! Potokiem! — krzykło się. Cegły się brało z wysadzonych kamienic na rogu Waliców. Nagle samoloty. Uciekamy na schody secesyjnej kamienicy, pod 22-gi czy pod 20-ty. Bomby. Zlatujemy do piwnicy. To był dom chyba pana Henneberga, inżyniera, brata braci Henneberg, a ojca moich trzech kolegów szkolno-harcerskich, u których tu byłem przed wojną. Pamiętam, jak wtedy wszedłem do nich, było pełno ludzi, otwarty balkon i straszny hałas z ulicy, tak jakby zupełnie jeździli po mieszkaniu. Pan Henneberg wczoraj czy dziś rano

stał na maszcie od tramwajów, podcinał i zrzucał druty, żeby zaplatały się pod czołgi, kłął na Niemców, głośno. Niedawno, dopiero w tym roku, ze „Stolicy” dowiedziałem się, że jeden z braci Hennebergów młodszych, to znaczy moich kolegów, poległ wtedy w powstaniu. Drugi też zginął. Ich matkę pamiętam ze szkolnych czasów, jak była w żałobie; miała bardzo jasne włosy. Czołgi było słychać. Już szły. Na całego. Trzeba było uciekać.

Więc w tej piwnicy w tej kamienicy — jeden starszy pan. Przyszedł.

— Skąd pan przyszedł? — spytałem.

— Z Krakowskiego Przedmieścia.

Mówi o tym, że Niemcy łapią ludzi i gnają ich przed czołgami na powstańców, żeby powstańcy w tych ludzi strzelali.

— I cała ulica spalona...

— Która? — pytam.

— No, Krakowskie Przedmieście — powiedział to bardzo smutno.

Zdziwiłem się wtedy, pamiętam, że, po pierwsze, Krakowskie Przedmieście ktoś nazywa ulicą, i po drugie, że ten starszy pan tak strasznie był o to zmartwiony, teraz się nie dziwię.

Po bombardowaniu wyszliśmy. Wołano do następnej barykady przed samą Żelazną. Mężczyzn. Poleciałem. Rozdali kilofy i łomy. Do bruku i płyt. Zresztą już część rowów była wykopana. Pierwszy raz zobaczyłem, że taka płatanina rur i przewodów. Uprzedzali, żeby kopać ostrożnie. Na czwartym rogu Żelaznej wywrócili kiosk z papierosami, jako przeszkodę, papierosy się posypały. Jeden facet zaczął zbierać.

— E, panie, w takiej chwili! — i zaczęli krzyczeć jeszcze inni, na niego. Zawstydził się, przestał, kopał z nami dalej. Nagle wywożą z wachy na taczkach trupy tych Niemców. Rozzebrani do połowy. I bosi. Wystają im zielone podeszwy. Gołe. I czy u jednego, czy u dwóch Niemców pamiętam wystający brzuch z tacek. Po kilku na jednych taczkach ich było. Ma

się ich pochować. Na skwerze przed kościołem Boromeusza. I nie robić krzyża. A zaznaczyć koło z ziemi (co potem, mniej więcej tak o zmroku, widziałem, że zrobili) od nowa. Bio-
rą mnie do pomocy. Wstydzę się wymówić. Ale życzę sobie w tej chwili nalotu, żeby to zrobili za mnie. I jest. Tak szybko, szybcutko. Nadlatują. I już bomby! że ci z taczkami rzucają te taczki, w popłochu, trupy Niemców lecą w rowy, w wykopy, obijają się o rury, sieci i gdzieś tam zostają głęboko. Z tym, że ich natychmiast jacyś wydobyli, ale już inni. Po bombach. Ja uciekłem dla wszystkiego o dwie kamienice dalej.

Potem powrót do Ireny. Postanawiamy się rozstać. No bo żeby jednak iść do swoich matek. Irena zostaje tu, u siebie. Ja mam iść do siebie, na Chłodną 40. Staszek do siebie. Na Sien-
ną 17. Bo ludzie lecą stamtąd i krzyczą:

— Pańska zbombardowana!

— Prosta zbombardowana!

Żegnamy się między Walicowem a Żelazną. Lecę do Żelaznej. Dużo ludzi, rzeczy, zniszczenia, zmian, zamieszania. Tłok. Uciekanie. Gołębiarze. Pamiętam. Patrzę: z Chłodnej w Żelazną koło tych arkad przez te różne wertepy skręca rządkiem iluś harcerzyków chyba w zielonych mundurkach. Z butelkami z benzyną. Skręcają w Żelazną. Jest pogoda. Sobota. Słońce. Wpadam do nas. Mama jest. I oprócz Mamy:

— Babu Stefu! — bo rzeczywiście siedziała na krześle. W dużym pokoju. Nagle. Tak ją nazywałem, bo akurat czyta-
łem Rabindranatha Tagorego, gdzie występuje Panu Babu. Ste-
fa — Żydówka — była naszą sublokatorką do wiosny 44 roku. Półrocznica. Mieszkała przedtem u drugiej żony Ojca (nieślub-
nej, Zochy). Chmielna 32, z Zochą, moim Ojcem i Haliną. Ale nie wiem, czy trzeba było jakichś innych powodów, czy po pro-
stu się pokłóciły, tak że któregoś dnia w 42 roku, czyli wtedy kiedy dostaliśmy to mieszkanie na Chłodnej, po Żydach, bo przedtem tam było getto, mur getta stał w poprzek Chłodnej między Wronią a Towarową, getto trochę zmniejszyli, bo getto ciągle zmniejszali, więc ileś mieszkań było wolnych, Ojciec

wystarał się o to: Chłodna 40, z tym, że te mieszkania były nie tyle zdemolowane, ile miały jakiś dziwny wygląd, w naszej kuchni leżała zaschnięta kupa na środku, ludzka oczywiście, i właśnie tam w kuchni zamieszkała sobie Stefa, zasłaniająca się zieloną firaneczką, jak tylko ktoś do nas przyszedł, choć potem nieraz się odsłaniała, bo niektórych znała z przyjaciół czy z rodziny, miała zaufanie, a zresztą bardzo niewiele o niej wiedziało. Więc krzyknąłem wtedy:

— Skąd się pani tu wzięła!... — i się cieszymy, witamy, krzyczymy, dziwimy, co za traf! Ja chyba najwięcej. — Babu Stefu, coś takiego!... Jak się pani tu dostała właściwie?

— A! — Krzesło, na którym Stefa siedziała, też było pożydowskie, tylko nie z tego domu, ale z kamienicy, która chyba stoi do tej pory, czy ocalała, czy odbudowana, w takiej ślepej kiszce, dosłownie ślepej, od Żelaznej zaraz na Chłodną po lewej stronie, tej od Wisły. Urządzili tam licytację. Pożydowskich mebli. Ojciec wpadł do domu, do nas. Krzyknął, żebym szedł z nim. Był akurat Swen, więc dla towarzystwa też polecał. Chociaż ja nie chciałem. Żeby tam iść. Ale było trudno, bo Ojciec. W bramie tej kamienicy licytacyjnej pożydowskiej było pełno kramu. Gratów. Rejwachu. Ludzkiego. Ojciec nałapał ileś krzeseł, każde z innej wsi, z tym, że wszystkie miały swoją wagę, wielkość, no i zniosło się na Chłodną 40. I tak Ojciec najpierw przyprowadził wtedy w 42 roku z tej Chmielnej 32 prosto Stefę do nas, niby na jedną noc, na dwie, i tak została na dwa lata. Papiery jej wyrobił po Zosi Romanowskiej. Bo Zosia Romanowska 8 września 39 roku pojechała na Grochów, do siostry i szwagra, i jeszcze zabrała ze sobą Norę, bratową, po to, żeby zatrzęsły im się drzwi i żeby nie mogli wymanipulować kluczami, jak nadlatywały samoloty, i zanim co, to już spadli do piwnicy, ocalała tylko jedna osoba, Hanka (na górze i pod gruzami), siostrzenica Zosi, która trzymała za rękę małą dziewczynkę sąsiadki, już nieżywą, sama była przysypana, i jak potem mieszkała na Lesznie obok nas, u Nanki, kiedyśmy stracili mieszkanie

w Śródmieściu, więc jak mieszkała po Zosi w jej pokoju, to wiem, że bała się nakrywać w łóżku kołdrą po szyję. Bo jak już traciła świadomość kołdry, to jej się to myliło z gruzami, że są po szyję. Więc Stefa miała kennkartę na imię i nazwisko Zosi; trochę starsza od niej, ale i tak była utleniona, nie tyle ruda, ile robiąca wrażenie rudawej, w ogóle podobna do Żydówki, tyle że Niemcy na szczęście się na tym nie znali, i nasze łobuzy też nie, i na jeszcze większe szczęście Stefa miała wiele odwagi i zbawiennego tupetu; skoro widziała Niemców na drodze — bo chodziła po różnych drogach ze Służewca na dół na Wilanów albo na Augustówkę z tak zwanymi krótkimi towarami, bardzo krótkimi, z agrałkami, z czeską biżuterią, żeby mieć z czego żyć i trochę pieniędzy na zapas — więc jak widziała Niemców, to sama podchodziła, pytała: „Wie spāt ist?”, a wracała zawsze tramwajem, na pomoście „Nur für Deutsche”; raz, jak mnie spotkała w mieście i mieliśmy wracać razem, powiedziała: „Niech pan jedzie ze mną, zrobię panu lekcję pokazową”. I rzeczywiście, nie tylko wsiadła w „Nur für Deutsche”, ale wepchnęła się do przedniej części wagonu, odgródzonej łańcuchem od reszty, z tłokiem, a tu było luźno, ja też tam za nią, trochę głupawo stałem, ona siedziała i zaczęła się niby to podklócać z jakąś folksdojczówną o to, że się niby na nią pcha.

Więc tak Ojciec po sprowadzeniu Stefy sprowadził krzesła. Dwie żydowskie sprawy. Które się na pewien niewielki czas rozeszły. I znów się spotkały.

W tym domu od licytacji z krzesłami czy może w tym naprzeciwno, ale w każdym razie w tej ślepej kiszce Żelaznej, w 43 roku chyba zrobiliśmy jeden z tak zwanych wieczorów, Swen, Halina, Irena, Staszek, no i ja. U kogoś, kto tam mieszkał. Taki wieczorek patriotyczno-literacki, z teatralnościami, Swen przedstawiał, grał wtedy Nicka, a ja według jego pomysłu na prawach prawie statysty grałem króla. Z tej nieśmiałości, drewnowatości siedziałem cały czas sztywno i tak samo mówiłem. Mój kolega z tajnego uniwersytetu,

Wojtek, który też zginął w powstaniu, na Żoliborzu, powiedział, że mu się to bardzo podoba. Powiedziałem, dlaczego tak wypadłem.

— To nic, ale to było bardzo ładne.

Graliśmy tam, pamiętam, kawałek *Wesela* Wyspiańskiego, Swen grał Stańczyka, we fładze narodowej, którą beztrudno sobie przeniósł w teczce czy w zawiniątku.

Ojciec swoją drogą robił różne interesy przedziwne. Raz przytachał z Kercelaka na Leszno, jeszcze na czwarte piętro, cały kosz kartofli. Zgniłe. Zmarznięte. Ale to i tak było drogocenne. Nanka, Ojciec, Mama, Sabina pamiętali z zeszłej wojny, że z takich zmarzniętych kartofli można robić placki kartoflane. Zrobili, i były dobre. Kiedy indziej Ojciec kupił na takiej licytacji lodówkę. Mama i Stefa dziwiły się cały czas, po co. Bo była zepsuta. Albo wchodzi kiedyś na Chłodną i ma cały płaszcz rybek, takich malutkich. Tak bez niczego. Na podółku. Przeciekają. Mówi Mamie, żeby zrobiła z tego kotlety. Mama robiła. Ale ile ich wyszło. Na wszystkie parapety. A mieliśmy wtedy cztery okna. Kiedyś, w Wigilię w 42 czy 43 roku, wieczorem otwierają się drzwi, wchodzi Ojciec i wnosi choinkę — sośninę. Mama zaczyna wydziwiał. Ja też. Ojciec, że niby co takiego. Trzeba ją zacząć ubierać. Zacząłem. Dziwnie było nadziewać zabawki na te sosnowe gałęzie. Sosna to dla mnie w ogóle było nie drzewo. To jakby ubierać zabawkami sosnę w Otwocku. W ogóle to nie miało nic wspólnego, tak mi się wtedy zdawało, z choinką. Zupełnie inna faktura. Nic z tego zapachu. Ani tego kolenia.

Do pomysłów Ojca należało wykorzystywanie umarłych, czego przykład już jeden dałem. Ale było ich więcej. Braliśmy marmoladę, chleb i te różne jedzenia na kartki na nazwiska chyba czterech nieboszczyków. Oczywiście bliskich. Ale wtedy takie rzeczy się robiło. Czego się wtedy nie robiło?

Żeby już wyjaśnić sprawę Stefy. Stefa mieszkałaby u nas do końca. Ale któregoś dnia na wiosnę 44 roku wracam z miasta, a Mama (szyła wtedy dla bab, żeby z czego miała żyć

i ona, i ja, kiecki, a właściwie przerabiała, bo to były przeróbki z przeróbek, fatalachy tak zwane, a jak zaczęła sobie która kombinować palto z futrem, czyli pelisę, to króliki; wiedziały, że oblażą, i to tak jak koty na wiosnę, ale co miały robić) — więc Mama, która obszywała również i naszą dozorczynię, mówi mi w drzwiach:

— Wyobraź sobie, że zdrętwiałam dzisiaj. Dozorczyini przyszła po tą swoją kieckę i mówi mi: „Ta pani syplikatorka to tak, jak idzie przez podwórko, to tak głowę krzywi i tak jakoś bokiem idzie, oj, z daleka poznać, że to taka Żydówka”.

Więc Stefa musiała się wyprowadzić. Dozorczyini, jak się okazało, powiedziała to nie w złej myśli, ale kto ją wtedy wiedział. Trzeba było uważać metę za spaloną, jak to się wtedy mówiło. Zresztą po wyprowadzeniu się Stefy któregoś ciepłego dnia, chyba majowego, obudziłem się o szóstej rano i słyszę jakiś harmider. Na dole. Tknęło mnie od razu. Lecę do okna w koszuli. A tu przed każdą klatką schodową Niemiec z karabinem. A po wszystkich klatkach chodzą i sprawdzają wszystkich. Nie wiadomo po co. Skończyło się, u nas przynajmniej, na sprawdzeniu kennkarty, mojego ausweisu, i poszli. Niemiec i konfident, mówiący po polsku, w białym płaszczu. Może by i nic nie było. Ze Stefą. Gdyby była wtedy jeszcze. Może by i uszła jako Zofia Romanowska. Ale kto tam wiedział tego w płaszczu.

No więc Stefa 5 sierpnia 44 roku siedzi na tym krześle, pożydowskim, z którym się znów spotkała, w turbanie na głowie, bo turbany na głowie i drewniaki na nogach były wtedy modne, z musu, w całej Europie podobno, a szczególnie jakoś rozpoznawało się Niemki po tych turbanach, a Stefa przecież uchodziła za Niemkę, więc siedzi Stefa w tym krześle i mówi:

— A, gdzie ja nie byłam. Jadę tramwajem. Zamieszanie. Patrę w koszyk. A tu mi ktoś podrzucił opaskę. Żydowską. Zatrzymują tramwaj, biorą nas na Gęsiówkę. Tam jesteśmy, odbijają nas powstańcy, lecimy przez Ogród Krasińskich, Bie-

łańską i potem przez Ogród Saski, tu Niemcy, tu się cofamy, Żelazna Brama, ludzie klęczą, mają rozstrzeliwać, uciekamy cudem, ach, panie Mironie.

— Ale się pani tu dostała?

— Ach, co to było.

Była chyba zaraz i ciocia Józia. Jej dom — Ogrodowa 49 — stykał się z naszym — Chłodna 40. Tyle że jego trzecie podwórze, tylny mur, w nim dziura, to było przejście na nasze długie podwórze, ale jedno. Byłem szczęśliwy, że było nas więcej. Co prawda ciotka Józia wróciła do siebie. Ale Stefa zostawała, nie było smutno. I to, że ocalała. Ale zaczęło się nagle — po różnych klęskach i wieściach — tak okropne pogorszenie i piekło, że odechciało się wszystkiego. Atak na Chłodną, Ogrodową szedł. Ludzie byli tam już rozstrzeliwani, paleni na stosach na Górczewskiej, na Bema, na Młynarskiej, na Wolskiej. Ci, co bronili z uporem (podziwiam: jakim) linii polskiego frontu, co i raz mieli odcięte schody, zejścia, wszystko, leżeli na dachach, na tych czwartych, piątach piętrach, dachy się zapalały, paliły, a oni z dachem spadali w dół. Piec, jak w getcie w 43 na Wielkanoc.

Wydobywanie, odsypywanie, gaszenie, pomoc — było trudne, choć było, ale uniemożliwiane przez wciąż nowe bomby, podpalania. Czyli beznadziejne. W kółko. Na któryś krzyk:

— Samoloty!

zlatujemy do piwniczki, płytkiej suterynki z wytwórniami szklanych rurek i bombek. Tłok. Panika. Modlenie się. Huk. Warkoty, łopotanie bomb. Jęki i strach. Znowu zniżają się. Huk, chyba trafiło we front, kulimy się. Obok któraś stara sąsiadka bije się w piersi:

— Najświętsze Serce Jezusa, zmiłuj się nad nami...

Wycie samolotów, bomb.

— Najświętsze Serce...

I nagle wyrывa coś naszym domem. Fruwają framugi z okien, drzwi, szyby. Huki. Koniec? Jeszcze trzaski. Jeszcze dalsze huki. Na razie wychodzimy. Podwórze zmienione,

czarne, posypane, osiwiiałe, okna puste, w drzazgach. Przed bramą lej na pół jezdni. Patrzymy z drugiego naszego piętra. Na to. Tłumy na podwórzu. Piekło — dalsze nieco — ale bez ustanku. Żle. Tłumy w popłoch. Z pakami, tobołami. Latają. Ci do bramy. Ci z bramy. Ci do Ogrodowej przez dziurę. Tamci z Ogrodowej do nas. Nagle zamieszanie. Straszny krzyk. Jakieś zawirowanie tłumu. Coś niosą. Kogoś... Kładą. Trupy? Krzyk... Czyj?

— To pani Górską — jej syna zabiło w szkole na Lesznie.

Znieśli trupy. Cała szkoła zbombardowana. Leszno 100 ile? 111 czy 113. To ta, do której poszedłem raz na szopkę. Dawno przed wojną, oczywiście. W czasie któregoś aktu oberwały się w lewym kącie sceny koce. Nagle gołe kulisy. Katastrofa, bo tam czekało pełno aniołów, króle i różni na swoją kolej. Z piskiem to się rzuciło w kąt, stłoczyło, zbiło w trójkącik. Anioły tuliły się, wtulały, zakrywały sobie łokcie i piszczały. O, jak mi było ciężko tu na tym podwórzu teraz.

(Pani Górską, jej syn i synowa — patrioci, baptyści. Przychodziły sobie szyć do Mamy. Obydwie. Jak moja Mama spytała: „Pani by nie rzuciła swojej wiary?” — „Ja? nigdy, w tej wierze się wychowałam i w tej umrę”).

Postanowiłem wrócić na razie do Ireny na Chłodną 24. Zastałem ich już wszystkich w piwnicy. Przygnębionych, ale tu było i ciszej, i mniej ludzi.

Naprzeciwko siedziały dwie kobiety. Jedna martwiła się o dzieci, bo zostawiła na Pradze u Wedla. Druga była z nią, trochę młodsza. Siedziały skulone. W tym korytarzyku. Od chodzenia raz na ileś po kartofle, po węgiel w normalnych czasach.

— Jak sowy — powiedział strasznie wyraźnym szeptem po swojemu i wolniutko Staszek.

Pamiętam spokój. I ulgę. Po swoim domu. Tu się nocoowało. Bo wiem, że na drugi dzień było słońce, ciepło, niedziela 6 sierpnia. Sowy (starsza Heńka, młodsza — jak jej było? — wiem, że umiała stawiać karty) powiedziały:

— Dziś Przemienienie Pańskie. Może Pan Bóg coś przemieni na lepsze.

I zaraz gruchnęła wieść:

— Powstanie upadło.

— Mój Boże — zerwały się piwnice, schody, baby, tłumy — tyle wysiłku i na marne, mój Boże? Niemożliwe.

— No tak.

— Mój Boże — załamywali ręce, latali w podwórzach. Po niejakiach — na początku — narzekaniach — ta zaprawa, solidarność. Bo rozpacz była.

I nagle lecą z krzykiem, z gazetkami, z odwołaniem. Że nieprawda.

Sami powstańcy — pamiętam — powiedzieli o upadku i zaczęli rozpacz; teraz — co za radość!

Ale niedziela zaczęła się dopiero. Szła groza, jakiej dotąd nie było. Wtedy właśnie postanowienie rozejść się w trzy strony. Staszek na Sienną. Irena zostaje. Ja znów do siebie. Słońce, upał, dym, pożary, huki, lecę do domu. Wtedy chyba właśnie zastałem ciocię Józję. W południe Niemcy, wyprzedzani włosowcami, zaczęli przypuszczać ostateczny atak na plac Kercelego, Towarową, Okopową. Kercelek upadł. Linia naszych cofała się. Leżeli już przy barykadach na rogach Wroniej. I strzelali. Ale po linii Towarowa–Kercelek–Okopowa miały padać dalsze, już nie Wola, ale ku Śródmieściu. (Zresztą i my na Chłodnej aż do linii Kercelaka, Towarowej i Okopowej byliśmy właściwie w Śródmieściu, nie tylko w tym tradycyjnym administracyjnie, ale i w Śródmieściu powstaniowym, przynajmniej tak to ustalono przed wybuchem powstania w dowództwie przy podziale Warszawy na kilka obwodów). Na razie broniło się tego paska między Towarową i Kercelekiem a Wronią. Ale atak szedł nie tylko po jezdni, z piechoty, czołgów, z artylerii, karabinów, granatów, miotaczy ognia, pepanców, ale — co najgorsze — z nieba. Samoloty bez przerwy teraz, wspierane tamtą resztą, stadami leciały, wracały i znów leciały, i bombardowały dom

po domu, oficynę po oficynie. Chłodną, Ogrodową. Krochmalną. Leszno. Grzybowską. Łucką. Itd. Waliły i paliły. Raz krzyk:

— Do odgrzebywania zasypanych!

Zgłosiłem się. Czekamy przy bramie. Odwołują nas.

— Już poszli. Inni.

Ale zaraz znów krzyk:

— Pali się Chłodna 39! Kto do gaszenia?!

Wylatujemy. To akurat naprzeciwko. Cały dom pali się. Chyba trzypiętrowy. Wody nie ma. Jest, ale obok z pompki, trzeba z kubelkami. Latać. Przez dziurę w murze. Jest i ziemia do gaszenia. Kobiety latają, pomagają. Upał. Płomienie. Te środki do gaszenia marne. A tu ściany już w ogniu. Na trzecim piętrze z którychś drzwi dym. Ale zamknięte. Walimy. Nic. Bijemy siekierami. Wpadamy. Ściana się pali. Goła ściana. Lecimy z tymi wiadrami. Po wodę. Wracamy. Lejemy. Co tu tyle znaczy. Zlatujemy.

— Ziemią! Ziemią! — krzyczą baby.

Lecimy znów. Tu samoloty. Sypią bombami. I bombkami. Zapalającymi.

— Gasić bomby!

Zlatujemy. Sypiemy na bombki. Jest ich ze dwadzieścia. Ze trzydzieści. Na kupie. Na podeście. Znów tam na tym prawie trzecim piętrze. Palą się, syczą. I już załapuje od nich ogień ściana. Ziemia świetnie robi. Jednak. Sypiemy. Czy pomoże? Bo przecież to bucha i bucha. Pomaga. Ale tam już i te ściany prawe i lewe. Palą się. Lecimy na dół. Mijamy się. Dobrze, że jest nas trochę. I że te kobiety. Dają gotowe już kubły z ziemią (nie jestem pewien, czy wody nagle nie zabrakło). Podają nam przez dziurę w murze, żebyśmy nie musieli niepotrzebnie przelatywać. Donoszą do schodów. Łapiemy od nich. Wlatujemy. Pamiętam, że leciałem po tych bombkach. Że po nich deptałem. Bo nie było inaczej jak. Gasiło się je po drodze. Już dogasające. Cała ta sterta. Ale co najlepsze: ściany w płomieniach coraz mniejszych. Nie do wiary. Za którymś sypnięciem

ogień się skurczył do zaniku. Cud! I ugasiłiśmy. W tym piekle. Akcja skończona. Wracamy.

Natarcie się powiększa. Coraz więcej tego bombardowania. Uratowani, jako tako przytomni i cali, zlatują się do naszych piwnic. Straszny popłoch. Na podwórku też. My sami w popłochu. Przenosimy się do ciotki Józi. Przez tą dziurę. Na Ogrodową 49. Tam jakieś baby na podwórzu przy kuchniach, dymach, i chłopcy biją się siekierami. Gonią. Rzucają nimi. Latają siekiery w powietrzu. Nic nie przesadzam. Idziemy do mieszkania ciotki na czwarte piętro. Ale tam nie da się dłużej wytrzymać niż dwie minuty. Razem z sublokatorką, starszą panią, ciotki Józefy i z jej bratem (też siwym) zlatujemy z jakimiś ich i swoimi manatkami na któreś niższe piętro do kogoś. Do jakiejś kuchni. Siadamy. Sublokatorka ciotki Józi podaje siwemu bratu:

— Masz chleb z cukrem — bierze, je.

— Dać ci jeszcze chleba z cukrem?

Kiwa głową.

Ja tam nie mogłem nic jeść od dwóch dni.

Nagle takie huki, wstrząsy, że lecimy na dół.

Zbombardowanych przybywa. Wszystko siwe. Od gruzu. Zadymione. Ciotka Józia, Stefa, Mama uważają, że ta piwnica słaba, dom z desek, trzciny z wapnem i z cegieł tylko. A sąsiednia — 51 — kleinowskie sklepienia — nowy dom, nieotynkowany jeszcze. Przenosimy się szybko dziurami, podziemiami. Tam tłumy. Siedzą na betonie. Mokrym. Po kątach karbidówki. Mama, ciotka Józia i Stefa zdejmują bety, rozkładają się na jakimś wolnym kawałeczku. W tym tłumie. Harmider. Huki, pociski, bomby nie do wytrzymania. A najgorsze, że idą ci Ukraińcy. I rzną. Wszystkich. Wciąż o tym mówią. Ludzie. Po dwudziestu latach — właśnie teraz, w 1964 i 65 roku — podano dokładne liczby od świadków z obydwóch stron. Nasze pisma dały wykazy, ile rozwalono ludzi na samej Woli w samą sobotę i niedzielę, 5 i 6 sierpnia. Kilkadziesiąt tysięcy osób. Niektóre niedostrzeliwane podpalano razem